

Kozanecki, Zygmunt

Pierwsza niepodległość : (udział uczniów "Jagiellonki" w życiu szkoły i kraju 1914-1919)

Notatki Płockie 31/1-126, 20-31

1986

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Pierwsza niepodległość (udział uczniów „Jagiellonki“ w życiu szkoły i kraju 1914–1919)

Poniżej drukujemy fragmenty pamiętnika zatytułowanego „Wiek wal-ki o dwie wolności” Zygmunta Kozaneckiego, absolwenta Gimnazjum im. Wł. Jagielly z 1921 roku. Wyboru dokonano z rozdziału I pt.: „Bez-troskie lata 1902–1914” i rozdziału II pt.: „Wojna 1914–1920”. Pamięt-nik autor napisał w latach 1972–73. Liczy łącznie 764 strony i obejmuje lata 1902–1973.

Tytuł wspomnień, publikowanych w „Notatkach Płockich” pochodzi od redakcji.

Redakcja

Wczesnym latem 1915 roku rodzice podjęli słuszną decyzję, abym z Zenkiem Offenkow-skim, cioteczynym bratem, w okresie wakacji letnich, przerobił program III klasy gimna-zjalnej¹ na zorganizowanym kursie w Gim-nazjum Polskim Polskiej Macierzy Szkolnej w Płocku, które już od 1913 roku mieściło się we własnym gmachu przy ul. Królewieckiej (wy-budowanym przez społeczeństwo). Tak się złożyło, że chodziłem na naukę bezpośrednio z Jędrzejewa, naszej posiadłości rodzinnej. Prawdopodobnie dlatego, że taka sytuacja mi odpowiadała. Przez cały okres pobierania na-uki w Płocku korzystałem z każdej wolnej chwili, aby wyrwać się na wieś. Pamiętam, jak kiedyś szedłem z Płocka szosą bielską w czasie dużej zawiei. Na moje mocne nogi 13 letniego chłopca, odległość nieco ponad 2 ki-lometrów, jaką codziennie pokonywałem z Ję-drzejewa do Płocka i z powrotem, nie stano-wiła dużego wysiłku.

Natomiast bardzo dużo wysiłku musiałem wkładać w naukę, gdyż dużego przyłożenia się do nauki wymagał program przerobienia ca-łego kursu 3 klasy w dwa miesiące. Bywa-ło dość często, że jeszcze po zachodzie słońca, w zapadającej ciemności na dworze, uczyłem się jakiegoś przedmiotu, czego matka nie mo-gła znieść i odbierała mi książkę w trosce, że-bym się nie przemęczył. A sekret tej pilno-ści leżał między innymi i w tym, że chciałem za wszelką cenę zdać i chodzić do tego wła-śnie gimnazjum. Byłem nim oczarowany już w okresie mych występów teatralnych, przy-gotowywanych w mieszkaniu dyrektora gim-nazjum — Grabowskiego i niechętnie myśla-łem o ewentualnym powrocie do rosyjskiego gimnazjum, w przypadku gdyby Rosjanie po-wrócili.

We wrześniu 1915 roku, po zdaniu egzami-nów, obaj z Zenkiem rozpoczęliśmy naukę w IV klasie Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkol-nej, które wtedy przyjęło nazwę I Gimnazjum Polskie w Płocku².



Fotografia zbiorowa (pierwszy raz publikowana) gru-py harcerzy z Płocka na wycieczce nad Skrwę, wy-konana w lesie brwileńskim 25 marca 1914 roku. Pięciu chłopców starszych klas Gimnazjum Polskiego w Płocku jest ubranych w mundury i czapki gimna-zjalne. Jedynie Władysław Broniewski jest „po cy-wilnemu”. Od góry: D. Czyżewski (imięcia nie usta-lono), Władysław Broniewski, Wiktor Chyczewski, Lech Rościszewski (kłęczy), Stefan Staszewski, Igna-cy Gościcki.

Okres do 11 listopada 1918, to jest opu-szczenia Polski przez Niemców, był okresem względnie spokojnej, jak na czas wojenny, na-

uki, ale także intensywnego uświadamiania sobie otaczających warunków politycznych. Wprawdzie nie można powiedzieć, aby uczniowie z klas czwartych w 1915 roku masowo brali udział w jakichkolwiek pracach o charakterze społecznym lub politycznym, to jednak podnoszenie sprawy odbudowania państwa polskiego kolejno przez niemal wszystkie państwa, biorące udział w wojnie światowej — wprowadzało zagadnienia, nad którymi jako 13—15 letni chłopcy musieliśmy się zastanawiać i niejednokrotnie zawzięcie dyskutować. Stopniowo sobie uświadamialiśmy, że nadchodzi okres uzyskania niepodległego bytu przez naród polski, co odbijało się na naszych zainteresowaniach. Starsi uczniowie, poza tymi, którzy wyszli do Legionów, bardziej intensywnie włączali się do konkretnej działalności. Np. prowadzili organizację harcerską, podejmowali inną działalność, oczywiście nielegalną, co ogółu młodszych nie sięgało, ale ujawniło się nam aresztowaniem i wywiezieniem kilku starszych uczniów, między innymi Jana Jaworskiego, najprawdopodobniej za współudział w wydawaniu tajnego pisma.

W tymże 1915 roku został aresztowany dyrektor Adam Grabowski, znów, o ile mnie pamięć nie myli, na tle nieufności władz niemieckich do jego osoby i nieodpowiedniego, zdaniem ich, zachowania się uczniów. Dyrektora Grabowskiego mało znałem, z krótkiego pobytu w Gimnazjum. Poznałem go wcześniej, na próbach przedstawienia teatralnego, w jego mieszkaniu (w domu Pruszkowskiego przy ul. Królewieckiej). Uwielbiałem go i darzyłem uczuciem najświeższym, jakie może rodzić się u młodego człowieka z wdzięczności, że właśnie może znajdować się w jego szkole. Obiektywnie — to był rozsądny, światły, postępowy i tolerancyjny, kochający młodzież wychowawca. Toteż młodzież, zwłaszcza starsza, która znajdowała się dłużej pod jego kierownictwem, odwzajemniała mu się nie tylko wielkim szacunkiem, ale i nie kłamaną miłością. Później, po jego śmierci, z własnych składek postawiła mu nagrobek na cmentarzu w Płocku⁸.

Po Adamie Grabowskim, dyrektorem gimnazjum został Konstanty Dąbrowski, który jednocześnie wykładał łacinę w części klas. Może nie był tak lubiany przez młodzież jak Grabowski, ale bardzo szanowany za spokojny, względnie surowy, ale serdeczny stosunek do młodzieży, która odnosiła się do niego z wielkim respektem. Był średniego wzrostu, z bródką w szpic i binoklami ze sprężynką. Nosił je na końcu nosa, i patrzył na otoczenie albo ponad okularami i wtedy głowę pochylał do przodu, albo przez okulary i wtedy musiał głowę odchylić nieco do tyłu. A wiadomo, że młodzież, wcale nie ze złego serca, lecz z pustoty, podglądała szczególnie u nauczycieli ich śmieszności.

Pewnego razu, podczas jednej z przerw, uczniowie klasy IV „b”, do której właśnie ja zaliczałem się (mieszczącej się na pierwszym

piętrze na prawo od schodów) urwisowali podczas przerwy, jak często bywało, biegnąc, popychając się i goniąc jeden za drugim. Jeden z uczniów porwał właśnie pleciony z wikliny kosz na śmieci i rzucił w drugiego. A gdy ten ostatni nachylił się, kosz odbił się o balustradę, z całą zawartością poleciał na dół i tam spadł wprost na wchodzącego schodami na górę, dyrektora Dąbrowskiego (szedł właśnie na lekcję łaciny do IV „b”). Wszyscy uczniowie ze strachu zaniemówili, umknęli do klasy na swoje miejsca. Zrobiła się cisza, jakiej nigdy nie bywało. Czekaliśmy na wielką burzę. Dyrektor wypalił reprimendę o niesfornym zachowaniu się, ale na tym, ku zdumieniu uczniów, burza skończyła się.

Inspektorem gimnazjum i wykładowcą matematyki był Karol Mierzejewski. Postać chyba najpopularniejsza wśród uczniów i najbardziej lubiana, mimo tego, że był jednocześnie postrachem dla nich. Wzrostu wyżej średniego, z rozwianym czarnym włosom i czarnymi wąsami, wiecznie szybko chodził i zawsze znalazł się tam, gdzie najmniej spodziewano się go. Sprawdzał wszystko, czy uczniowie palą papierosy w ustępie, jak się ubierają, co robią poza szkołą itp. Wiedział właściwie wszystko i o wszystkich. Ale robił to z humorem i mam wrażenie, że nie czuł się zbyt dobrze, kiedy brakowało mu w jakimś okresie kawałów i psikusów uczniowskich. Nosił ze sobą notesik z ołówkiem i z miejsca notował tam potrzebne dane.

Pewnego razu zajrzał do przedsionka ustępu na pierwszym piętrze, i widząc czarną chmurę dymu, polecił woźnemu zamknąć drzwi od zewnątrz ze wszystkimi tam przebywającymi. Drzwi otworzył dopiero po rozpoczęciu się lekcji. Ku swemu zdumieniu w ustępie nie zastał nikogo. Uczniowie przy pomocy z zewnątrz, podtrzymując się linki (przeciągniętej z okna przedsionka do okna sąsiedniej klasy) przedostali się, po występie muru na ścianie, do znajdującego się w pobliżu drutu od piorunochronu. I po drucie zeszli na dół. „No to wam się udało tym razem” — powiedział inspektor, śmiejąc się, gdy mu ujawniono, w jaki sposób uczniowie wydostali się z zamknięcia.

Innym razem np. ni stąd ni zowąd, inspektor zjawił się w pokoju bilardowym hotelu poznańskiego, gdzie wydawało się uczniom najbezpieczniej. I kiedy zauważył kryjących się za kotarą i pod bilardem uczniów, usiadł spokojnie przy stoliku, kazał podać sobie napój i coś do jedzenia i tak przesiedział godzinę. Po czym odezwał się „No! Wychodźcie z ukrycia, gdyż już odcierpieliście za swoje”. A gdy uczniowie wyszli, oświadczył im, że tym razem sprawę uważa za załatwioną, ale przestrzega ich na przyszłość.

Część uczniów na razie nosiła ubrania cywilne, lecz wkrótce wprowadzono konieczność ubierania się w szkolne mundury — czarne z dwurzędową marynarką i ciemno amarantowymi obwódkami na kołnierzu i przy mankie-

tach oraz czapka, na wzór francuskiej czapki żołnierskiej z XVIII wieku, z amarantowymi obwódkami na szwach. Kołnierz munduru zapinany był pod szyję, lecz wielu uczniów do ubrań cywilnych, a także do mundurów zakładano krawaty, który wystawał spod rozpiętego kołnierza. Właśnie niestanną wojnę toczył inspektor z krawatami, w szczególności noszonymi do mundurów. Zabierał krawaty i składał je u siebie do ewentualnego oddania w przyszłości. Na tym tle powstała nawet piosenka, która była śpiewana podczas pożegnania inspektora Mierzejewskiego (przezywanego Szpeklem), gdy odchodził z Gimnazjum jako wybrany w 1919 roku poseł do pierwszego po wojnie sejmiku polskiego. Zaczynała się od słów „a w naszej szkole stał się cud, tirallala, Szpeka do Sejmu wybrał lud, tirallala, nasze krawaty więc będą żyć, niemaż, ach niemaż, jak uczniem być!”

Inspektor Mierzejewski lubił najprawdopodobniej tę atmosferę prowadzonej często z humorem podjazdowej niby walki z uczniami, a uczniowie z całą pewnością także. Czasami, gdy było zbyt spokojnie i nic się nie działo, uczniowie obmyślali jakiego splateka figla. Z drugiej strony czekał także na to inspektor. Normalną karą za przewinienia była tak zwana „koza”, czyli pozostanie na określony czas po lekcjach.

Kiedys inspektor, stojąc po zakończeniu nauki, jak często to robił przy zejściu ze schodów wiodących do drzwi wyjściowych, zauważył wychodzącego ucznia i zawołał: „Acha! Ciesielski; to ty wracasz do domu?” — „A no tak” — odpowiedział Władek Ciesielski”. — „Przecież jestem rozliczony i nie mam nic na sumieniu”. — „O! Czyżby?” — odrzekł inspektor i zająknął do swego notesika. — „A rzeczywiście — powiedział — nie masz nic, ale wiesz, lekcje wcześniej się skończyły dzisiaj, to ty sobie zostań na godzinę, będziesz miał już odbyć karę na zapas”. Ciesielski wcale nie oponował, został i miał już nie minus, lecz plus na koncie inspektora.

Innym razem, było to w klasie V, zobaczył, że do cywilnego ubrania, bo nie miałem jeszcze mundurka, wyłożyłem na kołnierz marynarki biały kołnierzyk od koszuli „Słowackiego”. Podszedł do mnie i polecił mi kołnierzyk schować pod marynarkę, co musiałem zrobić. Ale kiedy oddalił się, znów kołnierzyk wyłożyłem na marynarkę, bo tak przecież się zwykle nosiło tego rodzaju kołnierzyki. Gdy to Mierzejewski zobaczył, tak energicznie krzyknął na mnie, że pierwszy raz w tej szkole odczułem strach. Zrozumiałem, dlaczego uczniowie mają tak wielki respekt wobec inspektora.

Lubiliśmy nasze Gimnazjum. Chętnie do niego szło się nie tylko przed południem na lekcje, ale i po południu na zajęcia sportowe, muzyczne lub inne prace. Wzajemna sympatia między nauczycielami i uczniami była widoczna i stwarzała bardzo dobrą atmosferę nauki.

Można wyrazić zdziwienie, że w tym czasie w początku XX wieku, w końcowym okresie trzech zaborów, w Gimnazjum był dobrany tak wartościowy zespół nauczycieli. Naprawdę szanowani, a nawet kochani przez uczniów, swymi wiadomościami i kwalifikacjami gwarantowali wysoki poziom nauczania i łatwość pobierania nauki przez uczniów. Takimi wykładowcami wówczas, oprócz wspomnianych już dyrektora Dąbrowskiego — łacina i Mierzejewskiego — matematyka, byli: Pyrzakowski — łacina, Kozarzewski — chemia, geologia, Maciejowska — francuski, Szredzki — rysunki, ks. Godlewski — religia, Lutyński — rosyjski, Klemens Jędrzejewski — polski, a w późniejszym okresie Czapczyński, Kacprzak — historia, Siciński — łacina, Helman — niemiecki i ulubieniec uczniów Werpechowski — matematyka.

Znane mi są koleje życia niektórych z nich, choć w pamięci zostali mi wszyscy. Wiem, że okres drugiej wojny światowej przeżyli Pyrzakowski i Lutyński, zmarli już po wojnie. Werpechowski po I wojnie wykładał na Politechnice Warszawskiej i był wojskowym, zmarł chyba przed II wojną i został pochowany na cmentarzu wojskowym w Warszawie na Powązkach. Klemens Jędrzejewski w okresie II wojny wyemigrował do Ameryki, gdzie lata pracował jako profesor w szkolnictwie wyższym, a w 1971 roku przekazał Płockiemu Towarzystwu Naukowemu dar w postaci kilku obrazów malarzy zagranicznych.

Inspektora Karola Mierzejewskiego, a później jego rodzinę, znałem z życia prywatnego. Matka moja Lucyna знаła Karola Mierzejewskiego jeszcze z okresu młodości na terenie Radziwia, gdzie zamieszkiwał. Później, gdy Mierzejewski, po ożenku, osiadł z rodziną w Żernikach, posiadłości liczącej około 100 hektarów ziemi, moja rodzina bywała czasami w Żernikach; a rodzina Mierzejewskich w Jędrzejewie. Stąd moje młodsze rodzeństwo podczas nauki w Płocku utrzymywało kontakty koleżeńskie z dziećmi Mierzejewskiego — Tadeuszem i Hanką. Po śmierci pierwszej żony Mierzejewskiego, w niedługim czasie po I wojnie, wychowaniem dorastających dzieci i prowadzeniem gospodarstwa domowego zajęła się krewna Aniela Dorobek, później druga żona Mierzejewskiego, z którą zaprzyjaźniła się moja matka. Mierzejewski w czasie drugiej wojny schronił się w gospodarstwie swych znajomych czy krewnych w okolicy Cekanowa pow. Płock i tam podczas okupacji zmarł⁵.

Okres nauki w IV, V i VI klasie w latach 1915—1917 przebiegał raczej spokojnie, mimo, że przecież toczyła się wojna i jej odgłosy od czasu do czasu dochodziły do naszej świadomości. Ogólne warunki polityczno-społeczne były już tego rodzaju, że w Gimnazjum w 1916 roku zorganizowano obchód 125 lecia Konstytucji Majowej. A rok później, część ulicy Królewieckiej, od Dominikańskiej w stronę rogatek płońskich, została przemianowana na ulicę 3 Maja. Zasadzono przy tej ulicy drzewka, a



Fotografia zbiorowa studentów Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej, byłych uczniów Gimnazjum Polskiego z dyrektorem Adamem Grabowskim, wykonana 24 stycznia 1917 roku.

uczniowie Gimnazjum z ufundowanym sztandarem byli w katedrze.

Spółeczność uczniowska, poza nauką i fizycznymi rozrywkami sportowymi, interesowała się także zagadnieniami politycznymi, które nawet wśród nas 14—16 letnich uczniów klasy V były czasami na swój sposób zawzięcie dyskutowane, gdyż wobec wysuwanych przez różne państwa projektów odbudowy państwa polskiego, sprawy te stawały się coraz bardziej żywe. Pamiętam także rozmowy, w których najpoważniej zastanawialiśmy się, jak to wszystko będzie się układać. Działania uczniów starszych klas my młodzi znaliśmy tylko fragmentarycznie, ze słyszenia, nie braliśmy w tych działaniach jeszcze udziału. Nawiazaliśmy między sobą nasze koleżeńskie znajomości, w wyniku których zbliżyłem się na pewien czas do Tadeusza Królikowskiego i jego brata Adama, do których domu zaglądaliśmy czasami z Zenkiem Offenkowskim. Rodzice ich prowadzili rzemiosło koszykarskie i wyrób pantofli, a później sklep, i utrzymywali z tego dość liczną rodzinę. Tadeusz został oficerem, o Adamie nie zebrałem wiadomości, a najmłodszy Wiktor został działaczem komunistycznym jeszcze przed wojną⁷. Siostra ich wyszła później za mąż i razem z mężem pro-

wadziła sklep po rodzicach. Wkrótce zbliżyliśmy się także bardzo z Witoldem Gundelachem, synem pastora i niedługo poznaliśmy całą jego rodzinę. (...).

Do grupy naszej stopniowo dołączyli Zygmunt i Franciszek Dzierżanowscy — synowie rządcy z majątku Lasockich — Miszewa Murwanego, Władysław Regel — syn rzeźnika z Rypina oraz Skupiński — syn dyrektora II Gimnazjum. Ponieważ Lilka Gundelach była w przyjaźni z Janiną Kuncman, uczennicą żeńskiego gimnazjum „Udziałowej”, córką rolnika i sąsiada moich rodziców, do naszej grupy dołączyła więc Janina Kuncman, bardzo lubiana przez nas „Janka”, oraz jej koleżanki Halina i Stefania Lewandowskie, córki właściciela sklepu przy ul. Grodzkiej. W ten sposób powstała grupa, przezwana „Grandą”, wokół której zaczynało się przez dłuższy czas obracać życie towarzyskie dużej grupy uczniów. W szczególności kontaktowaliśmy się i razem i pojedynczo z Władysławem Jaworskim, Władysławem Chodalskim, Janiną Wosińską i Bronisławą Krajewską oraz z mieszkającą w sąsiedztwie Gundelachów, rodziną Zienkiewiczów — Witoldem, Zofią, Haliną i Jankiem. Część naszej grupy — Tolek i Heniek Gundelachowie, ja — Zygmunt Kozanecki, Franci-

szek Dzierżanowski, Skupiński, uprawiając wciąż śpiewanie i granie, daliśmy impuls do powstania w Gimnazjum zgrupowania muzycznego, które przerodziło się stopniowo w 19 osobową orkiestrę mandolinistów, która przy okazjach uroczystości dawała zupełnie ładne koncerty muzyczno-wokalne. Kierownikiem tej orkiestry został muzykujący amator płocki — Kroppe. Z inicjatywy jego i naszej większej grupy założone zostało Towarzystwo Muzyczne, którego aktywnymi członkami byli wciągnięci przez nas uczniowie, nasi koledzy. Dawaliśmy niemal co tydzień koncerty w lokalu Towarzystwa przy ul. Kolegialnej (doń Herolda), gdzie mieszkał Kroppe. Mieliliśmy orkiestrę mandolinowo-skrzypcową oraz chór męski. Do wymienionych zespołów należeli: Witold Gundelach, Henryk Gundelach, Smolniewski, Franciszek Dzierżanowski, Iliński, Nadratowski, Stefan Łoś, Paciorkiewicz, Henryk Wagner, Skupiński, Zygmunt Kozanecki, Eugeniusz Adamkowski, Władysław Jaworski, Witold Zienkiewicz, Henryk Pawłowski — skrzypek i nawet nasz koncertowy solista, Sobociński, Łysakowski i Roman Czerwiński — pianista często koncertujący solo. Do chóru, oprócz większości wymienionych, którego podstawę stanowili obaj Gundelachowie, ja i Władek Jaworski, należeli jeszcze Zygmunt Morawski, Waclaw Brudnicki, Mieczysław Włoczewski i inni.

W obchodach urządzanych w Gimnazjum braliśmy zawsze udział w części koncertowej, ale trzeba podkreślić, że często jako solistka fortepianowa występowała żona dr Zenczkowskiego, którego syn Janusz chodził do Gimnazjum. Otóż szczególną atrakcją dla uczniów, wywołującą duże brawa, było zbliżanie się do sceny inspektora Mierzejewskiego, prowadzącego pod rękę, filigranową osobkę — panią Doktorową, a następnie ukłony obojga w podziękowaniu za brawa, które niejednokrotnie trudno było przerwać, zanim p. Doktorowa rozpoczęła swój koncert.

Cześć ówczesnej społeczności uczniowskiej, liczącej podobno ponad 300 osób, stanowiła w 1916 r. klasa V „b”, w której, podając z kronikarskich względów, moimi współtowarzyszami nauki, zabaw i jasnych stron życia byli: Zygmunt Dzierżanowski, Franciszek Dzierżanowski, Witold Zienkiewicz, Tadeusz Marynowski, Stanisław Wierciński, Fischer, Jan Wiśniewski, Roman Czerwiński, Smoleński, Władysław Jaworski, Bieniecki, Kazimierz Sikorski, Adam Królikowski, Tadeusz Królikowski, Zenon Offenkowski, Wędrychowski, Jan Chyczewski, Paweł Chyczewski, Witold Graniszewski, Dabrowski, Witold Gundelach, Kazimierski, Zieliński, Waclaw Brudnicki, Stanisław Dutkiewicz, Paciorkiewicz, Załęski, Zygmunt Mrozowski, Franciszek Olszewski, Stanisław Konopka.

Kiedy piszę te słowa, w sierpniu 1972 roku, większość z nich nie żyje. Zadziwiająco mało mogę obecnie o nich, o ich życiu, powiedzieć. Zbyt mało, okazuje się, interesowałem się nimi.

O niewielu z nich mam pewne wiadomości. Mianowicie Stanisław Konopka, który w latach dwudziestych podczas prawniczych studiów pracował zarobkowo, jako sekretarz prezydenta Słomińskiego m. st. Warszawy, zmarł najwcześniej, gdzieś w połowie lat trzydziestych, z powodu gruźlicy. Zygmunt Morawski, był lekarzem — pediatrą na Pradze, przeżył okupację i zmarł po wojnie. Waclaw Brudnicki, po ukończeniu prawa został sędzią, przeżył okupację w Warszawie, a po wojnie osiadł w Łodzi, gdzie został wiceprezesem Sądu Wojewódzkiego, zmarł w 1971 roku. Witold Graniszewski po ukończeniu szkoły rolniczej w Cieszynie, pracował jako rolnik w różnych majątkach, część okupacji przeżył w Warszawie, a później został zarządzającym majątku należącego do zespołu rolnego — Puław. Po wojnie będąc członkiem Stronnictwa Ludowego, pracował jako naczelnik wydziału rolnego w Centralnym Zarządzie Więziennictwa i w połowie lat sześćdziesiątych zmarł. Wreszcie Zenon Offenkowski uczestniczył w wojnie polsko-rosyjskiej w latach 1918—1920, następnie w 1921 roku wrócił do Gimnazjum im. Jagielly, ukończył klasę szóstą i awansował przed wojną do rangi kapitana. Brał udział w wojnie z Niemcami w 1939 roku, a po zakończeniu działań wojennych ukrywał się na Litwie, tam wstąpił do armii Andersa i z nią wyjechał na Bliski Wschód. Brał udział w obronie Tobruku i w bitwie pod Monte Cassino. Zdemobilizowany po wojnie w randze pułkownika, nabył za pieniądze oszczędzone oraz otrzymane z odprawy, domek w Londynie, gdzie zamieszkał z drugą żoną i gdzie w połowie lat sześćdziesiątych zmarł.

* * *

Spółeczności uczniowskiej w Płocku znane były wydarzenia związane z tworzeniem organizacji niepodległościowych. W 1917 roku, jako 15 letni uczeń, byłem już w klasie VI, miałem kolegów przeważnie starszych ode mnie w wieku 16—18 lat. Uczniowie na ogół nie zajmowali się działalnością polityczną, ale za to dużą część z nielicznymi wyjątkami, żywo interesowała działalność wojskowa.

Na terenie Płocka Polska Organizacja Wojskowa (POW) także podjęła bardziej intensywną działalność wojskowo-przygotowawczą. Komendantem okręgu Płockiego POW był Chmielewski, a jego zastępcą lub później następcą — Waclaw Lenkiewicz⁸. Ponieważ działalność organizacji była tajna, wiadomości moje o kierownikach POW pochodzą z późniejszego okresu. W 1917 i 1918 r., w czasie okupacji niemieckiej, nie wiedziałem kto pełnił funkcje kierownicze. Trzeba podkreślić jednakże, że chociaż organizacja i praca POW była tajna dla władz niemieckich i osób postronnych, to jednak w środowiskach ludzi młodych konspiracyjnej tajności nie przestrzegano zbyt



Nauczyciele — uczestnicy kursu przysposobienia wojskowego (66 osób) na tle frontonu Szkoły, z niezachowanym do dziś napisem: Gimnazjum Polskie imienia Króla Władysława Jagiełły. Fotografia wykonana prawdopodobnie w latach 1918—1919.

ściśle. Nie mówiło się wprawdzie o tym prawie zupełnie, ale każdy z nas orientował się z grubsza kto z otoczenia do organizacji należy i co robi. Niemcy, jako okupanci, przeciwdziałali rozwijaniu się prac organizacji, lecz trzeba stwierdzić, że pozostawiali jakoś dość dużo możliwości swobodnego prowadzenia spotkań, ćwiczeń, zbiórek itp. Sądzę, że dostatecznie byli zorientowani, iż POW była nastawiona w zasadzie na przygotowanie kadr wojskowych na czas powstania państwa polskiego, a oczym było już głośno, a nie na działalność zbrojną lub dywersyjną przeciwko Niemcom w okresie trwania wojny. (...)

Tkwiąc w tym środowisku, choć jeszcze nie należałem formalnie do organizacji, wiedziałem już wtedy, że w Płocku były dwie kompanie POW — I kompania, grupująca przeważnie uczniów, której komendantem w II połowie 1918 r. był Michał Brzozowski, uczeń Gimnazjum im. Wł. Jagiełły oraz II kompania, grupująca przeważnie młodzież pozaszkolną, rzemieślniczą i inną, której komendantem był Stanisław Offenkowski. Zrozumiałym stało się, że skoro Stach Offenkowski był komendantem kompanii, to ja jako 15—16 letni chłopak, wiedziałem o wszystkim siłą rzeczy, nie tylko z własnej ciekawości, ale i z konieczno-

ści oraz potrzeby pomagania Stachowi w różnych czynnościach łączności, zabezpieczenia, obserwacji itp. I zanim w połowie 1918 roku zostałem zaliczony do składu kompanii Stacha, to już w roku 1917 i 1918 cały czas z wielkim zapalem i pewną dumą podejmowałem zlecone mi czynności — przekazywania wiadomości (pisemnie lub ustnie) o zbiórkach, ćwiczeniach, spotkaniach itp., a czasami nawet wyjazdów poza Płock, na moim własnym rowerze. Rodził to także brat Staśka — Zenon Offenkowski. Byliśmy obaj niezastąpionymi pomocnikami Stacha, jego oczami i uszami, znosiłiśmy i roznosiliśmy wiadomości nie tylko organizacyjne, ale i inne różnego typu. Stąd wiedziałem wówczas, że na terenie Płocka do POW należeli między innymi: Konstanty Lipiński, Jan Witkowski-pracownik sklepu tytoniowego „Spójnia”, Szczepan Praszkiwicz, Jan Czaplński, Konstanty Tomczyk, mój krewniak, którego rodzice mieszkali w Myślibórzycach (między Płockiem i Dobrzyniem), ale Kostek prawie stale przebywał w Płocku, a wśród moich starszych kolegów: Władysław Ciesielski, Władysław Chodalski, z którym się zaprzyjaźniłem, Stefan Lisicki, który mieszkał w domu Konowickich nad Offenkowskimi, i inni.



Grupa 19 uczniów Gimnazjum im. marsz. St. Małachowskiego i Gimnazjum im. Wł. Jagielly w Płocku. Ok. 1918 roku.

W pierwszym kwartale 1918 roku powracali do Płocka zwolnieni z obozu w Szczypiornie żołnierze Legionów. Spośród znajomych wrócili do Płocka — Władysław Broniewski, Jan Oberfeld, Jan Mariński, Władysław Iwanicki, Dyonizy Kowalski, Marcin Zaleski, Bolesław Mierzejewski. Niektórzy powrócili do Gimnazjum, jak Oberfeld, i ukończyli je w 1918 roku. W tym czasie Broniewski, mieszkając w Płocku, także przygotowywał się do egzaminu dojrzałości i zdał go w Warszawie jako ekstern. Bolesław Mierzejewski prowadził w Gimnazjum lekcje wychowania fizycznego. Był — jak mówiło się wówczas — profesorem od gimnastyki. Wszyscy powracający włączali się w różny sposób do pracy przygotowawczej wojskowej lub politycznej. Niektórych jak Marcina Zaleskiego, Władysława Iwanickiego, Dyonizego Kowalskiego widywałem u Stacha Offenkowskiego.

Wybuch w 1917 roku Rewolucji Październikowej w Rosji i ogłoszenie przez bolszewików prawa narodu polskiego do stworzenia własnego państwa, był dla społeczeństwa polskiego jeszcze jednym elementem, wskazującym na realną możliwość utworzenia państwa. Wszystkie siły społeczne, na swój sposób mniej lub bardziej intensywnie, aktywizowały się. Chociaż warunki życiowe ogółu młodzieży nie zmieniły się i w zasadzie żyła ona nadal swoimi, sprawami wewnętrznymi — nauki, życia koleżeńskiego i towarzyskiego — to grupy

młodzieży dorastającej, starszej, wprowadzane swą działalnością w krąg zagadnień politycznych lub wojskowych, przeżywały podniecenie wywołane wydarzeniami w świecie. Obserwowało się częste prowadzenie dyskusji na tematy polskiej przyszłości oraz wzmożenie różnych spotkań, ćwiczeń organizacji POW, nawet ćwiczeń polowych. Pierwsze trzy kwartały 1918 roku na terenie Płocka, jak w całym kraju, to okres szczególnie wzmożonej działalności POW. Prowadzono szkolenie nie tylko na terenie Płocka, ale organizowano oddziały i ich ćwiczenia na terenie powiatu płockiego i sąsiednich — Mała Wieś, Borowiczki, Popłacin, Słupno.

Kiedy Niemcy zawarły z Ukraińcami układ, którym odstąpiły Ukraińcom Ziemię Chełmińską, całe społeczeństwo polskie podjęło protest. W Gimnazjum im. Wł. Jagielly ogłoszono, jak w innych szkołach, strajk protestacyjny w formie zaniechania prowadzenia zajęć szkolnych przez jeden dzień. Ogłaszając o tym profesorowie upominali nas uczniów, abyśmy powstrzymali się od brania udziału w zebraniach lub pochodach publicznych, czego można było spodziewać się, gdyż społeczeństwo było wzburzone perfidią Niemców. Chciano uniknąć, poza wyrażeniem protestu, innych ekscesów i prowokacji, grozących podczas publicznych zebrań. Lecz wbrew tym zaleceniom, nie obyło się bez zajęć.

W dniu strajku wyszedłem około godziny

10—11 z kilkoma kolegami na spacer za Tum (tak nazywano skarpe nad Wisłą z aleją spacerową za katedrą, częścią zamkową i obok gmachu teatru). Kiedy znaleźliśmy się u wylotu uliczki, prowadzącej od katedry do głównej alei spacerowej, zobaczyłem naraz niewielkie zgrupowanie kilku osób, do którego zbliżyliśmy się i dołączyliśmy. Nagle wypłynęła do góry czerwona chorągiew. Zobaczyłem, że podniósł ten sztandar Kostek Tomczyk. W grupie kilkunastu młodych ludzi przeszliśmy skarpe w kierunku teatru, ulicą Piekarską do Starego Rynku, wznosząc coraz śmiej protestacyjne okrzyki i śpiewając pieśni. Grupa rosła, przyłączało się coraz więcej ludzi. Szliśmy dalej ze Starego Rynku ul. Grodzką w stronę Placu Kanonicznego i położonego obok Odwachu, gdzie stała zbrojna warta wojska niemieckiego. W ulicy Grodzkiej zbliżał się do skrzyżowania z Tumską już poważny pochód ze śpiewem i okrzykami. Na skrzyżowaniu zobaczyłem znaną w Płocku, grubą postać oficera niemieckiego Blocha, wymachującego rękami i wydającego jakieś rozkazy. Pochód zbliżał się, a Bloch i kilku żandarmów znalazło się przed jego frontem. Rozległy się z Odwachu strzały i wtedy zobaczyłem, że Kostek Tomczyk, który niósł sztandar, zerwał go, schował i zniknął w tłumie. Zdaje się, że Kostek wpadł do najbliższej bramy, tłum rozpierchł się w mgnieniu oka, ale wielu uczniów, w tym Zenek Offenkowski i ja, pozostało na placu. Tych Bloch kolejno zatrzymywał i przekazywał żandarmom. Mnie minął, a zatrzymał Zenka Offenkowskiego.

Zatrzymanych zostało wówczas kilkunastu uczniów, ale nie pamiętam już obecnie ich nazwisk. Zostali osadzeni w więzieniu, gdzie przesiedzieli około miesiąca lub dwóch i zostali zwolnieni po wielu nieustępliwych interwencjach ks. prałata Lasockiego u władz niemieckich. Prałat tłumaczył, że to był tylko wybryk niedorostków, a nie poważne wystąpienie polityczne i że nie powinni trzymać młodych chłopców, którzy nie mieli nic wspólnego z organizacją pochodu. Niemcy, widocznie nie chcąc drażnić społeczeństwa płockiego, wreszcie zwolnili naszych „bohaterów”. Było to więc pierwsze moje-nie tylko moje, ale wielu innych kolegów wystąpienie publiczne i to pod czerwonym sztandarem. Później rozmawiałem z Kostkiem Tomczykiem i z tego co usłyszałem, zrozumiałem, że chodziło o zamianowanie protestu. On, jako były legionista, musiał uniknąć zatrzymania i to ze sztandarem.

Mała dygresja o ks. prałacie Ignacym Lasockim, powszechnie znanym w Płocku. Pochodził ze znanej w płockim ziemiaństwie rodziny i był wielkim społecznikiem. Jego staraniem, a w części wkładem własnego majątku, utworzony został i przeznaczony dla biednych Zakład — Sierociniec „Stanisławówka” oraz została zorganizowana szkoła średnia dla dziewcząt, tak zwana „Pensja Udziałowa” przy ul. Kolegialnej, której przełożoną była Mar-

celina Rościszewska. Podejmował szereg akcji społecznych i kulturalnych. W czasie okupacji niemieckiej z okresu I wojny światowej, samorzutnie stał się (bez sprawowania jakiegokolwiek urzędu), przedstawicielem polskiego społeczeństwa płockiego i rzeczywiście dosłownie wyklócał się o różne sprawy z władzami niemieckimi, które wyraźnie liczyły się z nim. Prałat Lasocki był popularny i lubiany w społeczeństwie płockim. Zjednywał je sobie nie tylko swym wkładem w prace i dzieła społeczne, lecz także swoistym, rubasznym, ale przychylnym stosunkiem do ludzi.

* * *

W styczniu 1919 roku, na skutek zdecydowanego imperatywu, cała młodzież płocka powróciła do szkoły, poza tymi, którzy byli zaliczani do tak zwanych kompanii marszowych, wychodzących lata dzień na front. Nie wrócił więc do szkoły wśród innych np. Zenon Offenkowski, który z Płońska wkrótce wyjechał na front. Wśród innych pozostał także w wojsku Dutkiewicz, uczeń Gimnazjum Jagielly.

Cała młodzież, zdolna do służby wojskowej, po powrocie do szkoły została objęta tzw. przysposobieniem wojskowym, w skrócie PW. Przysposobienie wojskowe obejmowało zresztą nie tylko młodzież, ale wszystkich zdolnych do służby mężczyzn, nawet w poważniejszym wieku. Prowadzili je ci, przeważnie spośród młodych ludzi, którzy obeznani byli z bronią i wyszkoleniem wojskowym, z reguły na wzór legionowego lub z pobytu w oddziałach POW. W Gimnazjum im. Jagielly komendantem oddziałów PW został kolega mój z klasy VII — Władysław Chodlaski. Ja natomiast zostałem jednym z najbliższych jego pomocników. Z tego właśnie okresu powstała między nami serdeczna przyjaźń. Władek Chodlaski był synem rządcy w jednym z majątków z okolic Płocka. Mieszkał z matką, siostrą i bratem, w domu niedaleko za rogatkami dobrzyńskimi, a młodzi uczęszczali dalej do szkoły. Poprzednio znaliśmy się z Władkiem dość dobrze jako koleży, on był w 1917 r. w klasie VI „a”, ja byłem w klasie VI „b”. W czerwcu 1918 roku Władek przeszedł do VII klasy, ja zostałem w VI na drugi rok i to na mocy wyłącznej przez siebie podjętej decyzji. (...)

Pod koniec roku szkolnego w klasie VI profesowie, zgodnie z przyjętym założeniem, przeprowadzali jednorazowe ćwiczenia klasowe, które w pewnym sensie zastępowały egzaminy przejściowe do klasy VII, jakich wówczas w rzeczywistości już nie było (promocję uzyskiwało się na podstawie wystawianych przez profesorów ocen rocznych). Na takiej właśnie klasówce z geometrii, którą wykladał inspektor Mierzejewski, potknąłem się i to tylko przez nieuwagę (sam rozwiązałem zadanie i dałem ściągnąć kolegom, siedziałem na pierwszej ławce — ale przez nieuwagę zamiast wzoru na objętość bryły, zastosowałem wzór

określający powierzchnie, czego koledzy uniknęli, bo już dalej rozwiązywali zadanie samodzielnie). Dostałem dwóję. Inspektor Mierzejewski, po tej klasówce, postawił mi roczny stopień niedostateczny. Ponieważ wówczas, przy niedostatecznej ocenie z jednego przedmiotu, można było zdawać po wakacjach poprawkę, miałem taką możliwość. Ale stało się inaczej. Inspektor Mierzejewski, jako dobry znajomy naszej rodziny, radził mi, żebym pozostał w klasie VI na drugi rok, przez co wzmocniłem się nie tylko w matematyce, ale i innych przedmiotach. Ta rada przypadła mi właściwie do gustu, bo nie bardzo chciało mi się poświęcać wakacje, a po wtóre i to wówczas był najważniejszy element — prawie wszyscy moi bliźni koledzy znaleźli się w klasie VI (m.in. Tolek Gundelach, Zenek Offenkowski, Eugeniusz Adamkowski, Bracia Dzierżanowcy, Wittek Graniszewski, Wacek Brudnicki, Stanisław Konopka i Zygmunt Morawski). Zdecydowałem się poprawki nie zdawać i pozostać na drugi rok w VI klasie... naprawdę dla kolegów.

Wszystkich drugorocznych obu klas szóstych dyrekcja Gimnazjum, z początkiem roku szkolnego we wrześniu 1918 roku, zgrupowała w klasie VI „b”. Pamiętam, że na 28 uczniów, klasa miała 22 drugorocznych. Takiej klasy chyba nie było w żadnej szkole (największe zgrupowanie urwisów). A jednak to była najmniejsza klasa, w jakiej byłem przez cały czas nauki, a i rezultaty w nauce osiągała nawet lepsze od VI „a”.

Klasa mieściła się na parterze, w niewielkiej izbie, na prawo od głównego wejścia do szkoły. Szcupłość izby sprawiała, że pod ścianami stały dwa rzędy po cztery ławki, a dwa środkowe rzędy po cztery ławki musiały być zestawione, siedziało więc w nich po czterech uczniów obok siebie. Nauczyciel nie spacerował, bo nie było na to miejsca, a pytał od frontu, przeważnie z katedry. Odpowiedzi uczniów zawsze wypadały dobrze, bo czy to przy tablicy czy z miejsca w ławce, zawsze skutecznie pomagali koledzy, którzy znajdowali się tuż przy odpowiadającym. Oczywiście takie warunki w szkole miały swój wpływ na stosunek uczniów do samego sposobu pobierania nauki. Łatwość uzyskania pomocy, czy to przy ustnej odpowiedzi, czy przy klasówce oraz przeświadczenie u drugorocznych, że wszystko umięją — prowadziło do tego, że większość w domu prawie nie uzupełniała swej wiedzy. Operowaliśmy tym zasobem wiedzy, jaki posiadaliśmy z poprzedniego roku i jaki uzyskiwaliśmy w szkole na bieżąco. Wówczas nie było można tego uznać za osiągnięcie pedagogiczne. Inaczej wyglądało to w innych klasach.

Styl pobierania nauki przez uczniów VI „b” nie zmienił się ani na jotę. Jeszcze bardziej niż poprzednio żyli sprawami polityki, wojny, ćwiczeniami wojskowymi, odbywającymi się obecnie już jawnie i regularnie, zainteresowani zdobyciem krótkiej broni, którą w niedłu-

gim czasie co drugi, co trzeci zdobył i przynosił do szkoły. Nieprzemijające podniecenie i uniesienie, wypływające z chęci służenia sprawom publicznym wówczas dziejącym się, nie omijało i młodszych kolegów.

Nie mogąc jeszcze należycie do oddziałów biorących udział w rozbrajaniu Niemców, uważali już wówczas i później, że muszą być przygotowani wojskowo. W tym to właśnie okresie zdarzył się wypadek postrzelenia ucznia Sowińskiego przez jednego z naszych młodszych kolegów Ludka Dąbrowskiego, gdy poszli gdzieś na mieście do ubikacji oglądać zdobyty przez jednego z nich rewolwer.

Oczywiście, również miałem rewolwer i tak jak inni bez jakiegokolwiek zezwolenia. Dostarczył mi go Władysław Regel, uczeń II Gimnazjum, który pochodząc z Rypina, przyjaźnił się z Gundelachami, a przez nich ze mną. Władek dostarczył naszemu środowisku sporo rewolwerów. Pochodziły z przemytu z Niemiec Wschodnich (...).

W maju 1919 roku z jednostki armii Hallera, stacjonującej w Płocku, wydzielone oddziały szły w teren na miejsca postoju np. w Bodzanowie, Goślicach, Sierpcu, Rypinie. Do oddziałów tych, na łączników, zostali przydzieleni członkowie PW, przeważnie uczniowie Gimnazjum, których postępy w nauce pozwalały już w maju, przed zakończeniem roku, na podjęcie decyzji o udzieleniu im promocji do VII klasy. Każdy z łączników musiał mieć rower własny lub wypożyczony. Zadaniem ich było przewożenie rozkazów, poczty, pieniędzy itp. między oddziałami i jednostką w Płocku.

Trafiłem do oddziału, który pewien czas stacjonował w Goślicach, a później w Sierpcu. Przy każdym oddziale było dwóch łączników, ale nie pamiętam kto był ze mną. Byliśmy uzbrojeni w krótką broń. Na zamianę, co drugi dzień, jeździliśmy z Goślic lub Sierpca (42 km) do Płocka i z powrotem. Czasami jechało się z Płocka aż do Rypina (około 80 km). Nie było to łatwe, jeśli się zważy, że wiozło się dużą torbę z pocztą, przeważnie jakąś manierką na własny użytek, płaszcz wojskowy i hełm do przykrycia przed deszczem, gdyż jechać trzeba było bez względu na pogodę. Któregoś dnia zdarzyła się próba napaści na jednego z łączników, lecz zdołał się wymknąć napastnikom. Mieszkaliśmy w oddzielnej izbie na kwaterze w pobliżu oddziału, a stołowaliśmy się w stołówce oficerskiej. Tak pełniliśmy swoją służbę prawie do powrotu do szkoły na nowy rok szkolny 1919/1920.

Okres nauki w klasie VII przebiegał nam względnie spokojnie, bez większych zakłóceń. Klasa VII, powstała z połączenia promowanych uczniów klasy VI „a” i VI „b” w jedną klasę. Liczyła aż 52 uczniów. W tych warunkach odpowiadało się bardzo rzadko, a mimo to, dzięki dobrym profesorom, uczniowie robili dostateczne postępy, gdyż w składzie klasy znalazła się większa liczba dobrze, a nawet wzorowo uczących się i zachowujących się uczniów. Wisusy musiały się podciągnąć na ty-

le, aby nie być gorszymi, choć trybu prowadzenia nauki własnej nie zmieniły.

Profesorowie, w wyjątkowo korzystnym doborze, nie tylko trzymali na ogół klasę w ryzach, ale swoim poziomem wiedzy i prowadzenia zajęć potrafili zainteresować najbardziej rozhułkanych. A więc najbardziej lubiany przez uczniów Adam Werpechowski, nazywany Werpechem. Świetny matematyk, po którego wykładzie uczeń miał jasno w głowie jakby mu słońce tam umieszczono, a późniejszy nasz kolega z wojska i następnie profesor Politechniki Warszawskiej.

Tadeusz Czapczyński — wychowawca i wykładowca literatury polskiej, prowadzący swe wykłady ciekawie i na niespotykanym w szkole średniej poziomie, wymagający. Chciał nas wszystkich literatami zrobić. W następnym roku odszedł, zdaje się na stanowisko dyrektora.

Janina Maciejowska — wykładowca języka francuskiego, która prowadziła nas od paru lat. Jej właściwie zawdzięczam znajomość lubianego przeze mnie przedmiotu. Wiedzę uzupełniałem akurat w tym okresie codziennymi rozmowami z Francuzami — Tomsinem i Piyou. Słyszę jeszcze dotąd od czasu do czasu powtarzane jej napomnienia — „Kozanecki, fermer la bouche”, gdy starałem się podpowiedzieć któremuś z kolegów, męczących tłumaczenie. Z tego „fermer la bouche” oraz z akcentowanego przeze mnie słowa „L'abbé Faria podczas czytania na głos w czasie lekcji powieści Comte de Monte Cristo oraz z tego, że byłem zawsze poprawnie ubrany — ukuto dla mnie przezwisko „Labuś”. I tak z nim na całe studia szkolne, a nawet uniwersyteckie, pozostałem. Przeważał tak mnie Zygmunt Morawski i to przyjęło się. Syn Maciejowskiej był moim kolegą w klasie VII, jakiś czas przyjaźniliśmy się.

Zygmunt Woltersdorf — wykladał chemię, względnie jeszcze młody i w sile wieku, dobry wykładowca, z którym łączę wspomnienie, jak przyłapał mnie podczas wypracowania klasowego na ściąganiu przez dziurę w blacie ławki z książki rozłożonej w ławce. Był wysokiego wzrostu i jak stanął na podium katedry, to dojrzał że coś mam pod ławką. Aby go przekonać, że jednak coś z chemii umiem, jak zresztą o mnie sądził, musiałem do następnej lekcji (w ciągu dwóch dni) nauczyć się całego przerobionego do tego czasu materiału z chemii i odpowiedziałem przy tablicy ustnie zupełnie dobrze.

Trzeba podkreślić, że do ustnych odpowiedzi, z powodu dużej ilości, byli wzywani przez wszystkich wykładowców z reguły tylko słabi uczniowie lub przypadkowi, jak ja po przyłapaniu na ściąganiu. Podstawą do okresowej oceny były przeważnie klasówki i ogólne rozpoznanie profesora. Inny jeszcze ciekawy moment z ostatnich gorących dni przed wybuchem wojny w 1939 r., łączę z Woltersdorfem. Znajdując się przypadkowo przy bufecie w cukierni „Wincentiego”, skupiającej o swej

porze panów „politykujących” przy kawie, usłyszałem wypowiedziane głośno na całą salę słowa o konieczności podjęcia walki, o przeciwstawieniu się hitleryzmowi itp. Zobaczyłem, że perorującym jest prof. Woltersdorf, co mnie uderzyło, gdyż dźwięczało to mi już wówczas niewłaściwie. Woltersdorf był ewangelikiem pochodzenia niemieckiego, żonatym także z osobą pochodzenia niemieckiego, siostrą naszego kolegi Wiktora Lilienthala. Taka publiczna deklaracja złożona została chyba celowo, dla wskazania na siebie jako lojalnego obywatela, a nawet patriotę polskiego. A tymczasem wkrótce po wejściu Niemców do Płocka w 1939 roku Woltersdorf, jako jeden z pierwszych chyba, zgłosił swą przynależność do narodowości niemieckiej, wpisując się na tak zwaną „Volksliste”.

Henryk Pyrzakowski, zrównoważony, zawsze spokojny, wymagający i prowadzący naukę systematycznie, pogłębiał nasze wiadomości z łaciny. Z moją łaciną była cała historia. Do klasy VII dostałem promocję z tak zwanym zastrzeżeniem z łaciny. W tym czasie, chyba na pewien czas, wprowadzono takie założenia, że uczeń mógł przejść do następnej klasy, jeżeli miał niedostateczną ocenę z jednego przedmiotu. Ale prof. Stefan Rutki⁹ w klasie VI za moje odpowiedzi, złe czy dobre, zawsze stawił mi dwóję. Zresztą niemal połowa klasy miała takie oceny. Promocję dostałem pod warunkiem, że w klasie VII poprawię łacinę i nie wolno mi było mieć teraz stopnia niedostatecznego na okres. Złożyło się szczęśliwie dla mnie, że właśnie prof. Rutki przestał wykładać łacinę, a po nim naukę tego przedmiotu objął Pyrzakowski. Pilnowałem więc systematycznego odrabiania lekcji i siedząc z Genkiem Adamkowskim w pierwszej ławce tuż koło katedry, podpowiadałem niekiedy innym w czasie ustnych odpowiedzi, co oczywiście Pyrzakowski musiał zaobserwować. Zresztą łacinę naprawdę trochę umiałem, gdyż nauczyłem się jej w okresie poprzednim. Zacząłem u Pyrzakowskiego dostawać czwórki. Wreszcie, gdy siedząc w pierwszej ławce, napisałem w zasadzie przy pomocy siedzącego za mną kolegi Archutowskiego (przezwanego u nas „Apostolem”) zarządzoną znienacka przez Pyrzakowskiego klasówkę na dobry, polegającą na tłumaczeniu podyktowanych tekstów polskich na łacinę — umocniłem raz na zawsze swoją pozycję z łaciny. I gdy nawet przestałem już uczyć się, zawsze miałem dobrą ocenę.

Po tej klasówce reputacja moja u Pyrzakowskiego ustaliła się do tego stopnia, że zapewnił moje koleżanki Ninę Górnicką i Zofię Szmelczyńską, że jestem na pewno dobrym uczniem, gdy te w przypadkowej rozmowie o mnie wyraziły zdziwienie, że mogę być uczniem zasługującym na wysokiej oceny. Pyrzakowski mieszkał, jako sublokator, u rodziców Niny Górnickiej, znanych właścicieli żeglugi parowej na Wiśle, a dużo później został mężem Niny Górnickiej.

Profesor Jan Hellman, nauczyciel języka niemieckiego, szczupły, nieduży, starszy pan z bródką w szpic, nie dawał sobie rady z tak dużą klasą. Toteż zadane do domu tłumaczenia przerabiał na lekcji z uczniem, którego zapraszał do siebie do tablicy, a cała klasa, z małymi wyjątkami, zajmowała się z reguły innymi sprawami, według własnego wyboru. Miał zwyczaj, że po rozpoczęciu lekcji pytał: „Wer hat lust antworten?” i wtedy zgłaszał się kto chciał, „załatwiał” swoją odpowiedź, miał stopień na okres i już przestawał się nauką niemieckiego interesować. Często jednak uczniowie robili sobie kawały i gdy Hellman pytał — „kto chce odpowiadać?”, wykrzykiwali cudze nawisko. Profesor usłyszawszy je, z reguły prosił zawołanego do odpowiedzi. Takie kawały dość często urządzał Wacek Brudnicki, wiecznie śmiejący się i szukający psikusów, największy kawalarz klasy — Józefatowi Maliszewskiemu, będącemu uosobieniem spokoju, powolności w ruchach i w mowie, o poważnej tuszy. Otóż, kiedy Hellman pytał „Wer hat lust antworten?”, Brudnicki krzychał — „Maliszewski hat lust” — i gdy biedny Maliszewski krył się za podniesiony blat ławki i machał rękami znacząco, że nie chce odpowiadać — Hellman zawsze mówił — „A, Herr Maliszewski, bitte, bitte”. Maliszewski więc rad nie rad, szedł do odpowiedzi. Nie brał sobie tego zbyt do serca, bo zawsze, jako dobry uczeń był przygotowany do odpowiedzi, szczególnie z niemieckiego.

Ksiądz Stanisław Figielski, wykładowca religii, prałat, obszernie i rozlegle tłumaczył nam prawdy wiary katolickiej. Mówił właściwie dla siebie i niewielu miał słuchaczy. Byli nimi ci, którzy nie mieli już żadnego innego przedmiotu zainteresowania do omówienia lub przerebienia na lekcji. Czasami wdawał się w dyskusję z kimś, kogo poprosił do odpowiedzi. Ale wówczas odpowiedź wyglądała tak, że wszystko wyjaśniał, a uczeń przeważnie słuchał, tylko musiał zrećcznie potwierdzać i uzupełniać pojedynczymi słowami wypowiedź księdza prałata. Na koniec okresu z reguły wszystkim stawiał piątki, niezależnie od tego czy ktoś odpowiadał czy nie. A jeżeli któryś z uczniów popisał się czymś niewłaściwym, no to wówczas dostawał z reguły czwórki. Najwięcej psikusów, przy akompaniamencie innych na zmianę, robił oczywiście Wacek Brudnicki z popisową swoją piosenką śpiewaną na lekcji — „Umarł tata, umarł tata, w mogile ciemnej śpiz na wieki”... co doprowadzało do tego, że wszyscy od niego uciekali. Nie wypro-

wadził jedynie z równowagi księdza prałata, który raz tylko powiedział „Brudnicki, ty jesteś niepoprawny”.

Ksiądz prałat Figielski był zarazem proboszczem parafii Trzepowo, trzy kilometry od Płocka, do której należało także Jędrzejewo, stąd znałem ks. Figielskiego bardziej niż inni koledzy. Znałem też i jego rodzinę, w której była siostra — żona artysty malarza Czesława Idźkiewicza¹⁰ oraz brat Władysław, uczestnik strajku szkolnego 1905 r., późniejszy działacz komunistyczny.

Czas, poza nauką w szkole, dzielony był w różnorodny sposób przez uczniów: na ćwiczenia w przysposobieniu wojskowym, rozrywki sportowe, wyjazdy łodziami na Wiśle oraz życie towarzyskie i kulturalne. Na wzmiankę zasługują koncerty dawane przez orkiestrę mandolinistów, do której należałem, oraz wieczorowe koncerty muzyczno-śpiewacze w powstałym przy naszym udziale Towarzystwie Muzycznym. Z powodu jakiejś rocznicy zorganizowane zostało także przedstawienie w teatrze płockim, które kończyło się częścią artystyczną i mazurem w cztery pary z udziałem uczennic Pensji Udziałowej: Zofii i Heleny Szmelczyńskich, Heleny Szymańskiej (czwartej maturzystki nie pamiętam) oraz moim w pierwszej parze z Zofią Szmelczyńską i kolegów Władysława Jaworskiego, Władysława Chodalskiego i Ludwika Duczymińskiego. Po tym występie, podczas omawiania ze mną na lekcji jednego z utworów Słowackiego, prof. Czapczyński, może trochę złośliwie, powiedział do mnie: „No, łatwiej jest pewne tańczyć mazura, niż interpretować utwory Słowackiego”.

Przez cały ten rok, poza normalnymi zajęciami w PW, sprawy publiczne — toczącej się na wschodzie wojny, zajęcia Pomorza przy szczególnym udziale armii Hallera, plebiscytów na Śląsku i Mazurach — dotyczyły nas ubocznie, choć interesowaliśmy się nimi żywo, ale bezpośredniego w nim udziału nie braliśmy. Odbijały się one u nas w większym lub mniejszym echem. Na przykład — wybór na posła inspektora Mierzejewskiego z ramienia Stronnictwa Narodowej Demokracji¹¹ dał podstawę do jakiegoś nieokreślonego wśród uczniów zadowolenia, że ktoś od nas, z naszego Gimnazjum, został wybrany do zajmowania się sprawami publicznymi i państwowymi, oraz był następnie okazją do zorganizowania uroczystego pożegnania. Innym znów wydarzeniem był wyjazd 60 młodych ludzi w trzech grupach w celu wzięcia udziału w powstaniu śląskim.

- ¹ w latach 1911—1914 autor uczęszczał do gimnazjum rosyjskiego w Płocku. Naukę przerwał wybuch I wojny światowej.
- ² [w:] R. Ołdakowski, *Nauczyciel „Jagiellonki” 1906—1981*, Płock, 1981 r., s. 4.
- ³ Napis na pomniku brzmi: „S. P. Adam Grabowski, Inspektor Szkolny okr. Płockiego Były Redaktor Ech Płockich. Zmarł nagle dnia 2 sierpnia 1919 r. przeżywszy lat 56. Pokój jego duszy. Drogie mu i Zaczemu Dyrektorowi, Niestrudzonemu Bojownikowi o szkołę Polską, Ofiarnemu Opiekunowi Młodzieży — Maturzyści z roku 1914/15”. *Nauczyciele „Jagiellonki”...*, s. 14.
- ⁴ W czerwcu 1939 r. wyjechał na leczenie klimatyczne do Kosowa Huculskiego, gdzie zastał go wybuch II wojny światowej. 17 września 1939 roku, uchodząc przed hitlerowcami, wyjechał do Rumunii. Wobec nasilających się wpływów niemieckich, latem 1940 r. otrzymał od gen. Sikorskiego polecenie wyjazdu do Ambasady w Waszyngtonie, jako referent ds. religijnych. Instrukcja Rządu Londyńskiego wymagała, żeby zabrał ważną dokumentację, i jadąc dookoła świata, bo Atlantyk był niebezpieczny, odwiedził kierowników życia religijnego poczynając od Patriarchy w Istambule. Po przeszło trzech miesiącach spędzonych na wizytacji, 7 grudnia 1940 roku wylądował w Portland-Oregon na Pacyfiku. W Stanach Zjednoczonych osiadł na stałe. Zmarł 19 grudnia 1981 r. w Long Branch. K. Jędrzejewski — „Kilka słów informacji w jaki sposób dostałem się do USA” (rękopis w posiadaniu B. Jędrzejewskiego), *Nauczyciele „Jagiellonki”...*, s. 29.
- ⁵ Wg R. Ołdakowskiego, *Nauczyciele „Jagiellonki”...*, K. Mierzejewski w grudniu 1939 r. został aresztowany przez Niemców. Dzięki staraniom rodziny został zwolniony. W obawie przed ponownym aresztowaniem opuścił Płock. Zamieszkał w Cekanowie, gdzie zmarł 3 kwietnia 1942 r. (pochowany na cmentarzu w Radziwiu).
- ⁶ W latach 1927—29 przebywał w Argentynie i Brazylii, gdzie redagował tygodniki polonijne «Wędrowiec» i «Wieści z Polski». Malarz i literat. W 1932 r. brał udział w wystawie sztuki w Warszawie i w pracach Klubu Artystycznego Płocczan. W latach 1948—53 był prezesem Oddziału Związku Literatów Polskich we Wrocławiu. Jego dorobek twórczy to m.in. *Strażnica* (1931), *Szajka* (1935), *Skarb w Puszczy*, *Opowieści tropikalne*, *Wilkołaki*, współautor wodewilów *Tor przeszkód* i *Klucze do Arsenalu*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. XVIII.
- ⁷ B. Dymek, Rozdz. *W latach II Rzeczypospolitej* [w:] *Dzieje Płocka*, Płock 1978, podaje, że w gimnazjach płockich młodzież postępową skupiła się w Związku Polskiej Młodzieży Socjalistycznej. Tacy młodzieżowcy jak J. Kalinowski, Wiktor Królikowski, Waclaw Mariański wstąpili w przeszłości do KPP.
- ⁸ Waclaw Lenkiewicz był lekarzem, zob. B. Dymek [w:] *Dzieje Płocka...*
- ⁹ Wybitny działacz TNP. Jego i żony Haliny nosi imię ulica na Oś. Tysiąclecia. W Gimnazjum wykładał łacinę i grekę. Od 1899 r. pełnił także obowiązki bibliotekarza. Jan B. Nycek, *Ludzie i Książki*, Płock 1983, s. 218.
- ¹⁰ Czesław Idźkiewicz (1889—1951) uczył w „Jagiellonce” rysunków w latach 1927—1939. Był znanym malarzem, uczniem W. Jastrzębowskiego i W. Skoczylasa w Akademii Antweperskiej, absolwentem Akademii Krakowskiej (u K. Tichego i J. Mehoffera). Jako kontynuator Drapiewskiego wraz z Bürche wykonał polichromię kaplicy królewskiej w katedrze płockiej, polichromię w kościele w Czerwińsku. Zob. *Nauczyciele Jagiellonki...*, s. 38, K. A s k a n a s, *Sztuka Płocka*, Płock 1985, s. 281, 283—285.
- ¹¹ Przypadł mu jeden z 6 mandatów okręgu płockiego. Został wybrany z listy chrześcijańsko-narodowej. Na czas posłowania otrzymał urlop w Gimnazjum. Po raz drugi uzyskał mandat poselski w 1922 r. z listy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej. Po jego wygaśnięciu, w 1927 r. zrezygnował z pracy dydaktycznej. Pracował we własnym gospodarstwie rolnym w Żernikach k. Płocka, zob. *Nauczyciele „Jagiellonki”...*, s. 23.